



Kira
Gatczyńska
Jeszcze
nie Wieczór

– Jakie te trolle są głupie – powtarzała Sonka za Dorotą. Patrzyła na stojącego przed nią młodego mężczyznę i nic innego nie przychodziło jej do głowy. – Prostackie i wredne – dodała mściwie, spoglądając na tłustego faceta z łysym łbem o ksywie Prezes.

To przezwisko pasuje jak ulał, myślała. Do tej spoconej twarzy, której rysy rozplynęły się w tłuszczu, do zachłanności, z jaką pochłaniał jakieś czekoladki, do nazbyt skąpego światła inteligencji w oku. I do tego, że boi się psów. Najprawdziwszy troll. Co on tu robi, na tym zamkniętym bądź co bądź pokazie, w oczekiwaniu na popremierowy bankiet? Pewnie tym razem wlaźł, powołując się na znajomości z Watykanem... Ale nagle uklonił się Sonce maestro od teatralnych ogonów, grywający w jednej z telenowel coś większego, czyli ogon z tekstem, i wszystko stało się jasne: to także troll, przyjaciel trolla Prezesa...

Obok jakaś celebrytka z diamentami na zębach głośno relacjonowała swoje ostatnie spotkanie z Dżoaną:

– Nie, nie utyla, jest w porzo... Próbuje zmałpować od Lady Gagi zapach swoich nowych perfum. Tamta miesza spermę z krwią, Dżoana myśli o samej spermie. Zajebi... Tylko tego dużo potrzeba, chyba że może by sztuczna... – Diamentowa

zamyśliła się. – Nie słyszałam o sztucznej spermie. Choć dziś wszystko może być sztuczne... Spoko, spoko... Ale największy jej job myślowy to teraz Głowa...

– Jaka głowa? – przerwał ktoś niezorientowany.

– Oj, pisarz, Głowacki. Dżoana mówi, że wciąż podnieca ją jego moherek.

– Jaki moherek? To on też od Rydzyka?... – dopytywał się ten sam niezorientowany.

Ale kółko otaczające celebrytkę z diamentowymi zębami zasyczało zde gustowane debilnymi pytaniami. Niezorientowany został tym samym wykluczony.

– A czy ubranka z wołowiny są nadal *cool*? Czy może jakieś inne ochłapy, na przykład wieprzowe, są także *en vogue*? – nacierał ten sam głos, widać uparty i wprowadzony, znający ostatnią kreację Lady Gagi z tej części wołowiny, którą nazywają ligawą.

– Za dużo wokół mnie trolli – rzuciła głośno Sonka. – Tępych jak walonki.

Chociaż to byłoby zabawne, pomyślała z uśmiechem, przeczytać w jakiejś kolejnej książce polskiego pisarza o efektach takiego spotkania: celebrytki po liftingu mózgu i mądrego pisarza. Ale cóż, pomarzyć można.

Przerwała krótką wymianę zdań ze znanym radiowym krytykiem muzycznym o twarzy wiecznie niezadowolonego buldoga, jak powiada Llosa. Jeszcze tylko jedno spojrzenie na jego krawat – krytyk słynął w mieście z unikatowej wręcz brzydoty tej męskiej ozdoby. I tym razem doskonale ilustrował on tezę o misterze zwisów!

Przeprosiła swego rozmówcę, który znakomicie wpiśwał się na jej dzisiejszą – całkiem okazałą – listę trollów,

i postanowiła więcej się nimi nie zajmować. Rozejrzała się jeszcze po zatłoczonym foyer, zręcznie wyminęła stojące w pobliżu grupki gości zajęte równie głupawą rozmową, rzuciła okiem na nienaganne loki Wilgi (którą w środowisku – pomimo przeszczerpów – nadal nazywano łysą śpiewaczką) okalające znów podciągniętą do kresu wytrzymałości twarz, na odsłonięty pępek, co było w tym sezonie obowiązkowe bez względu na porę roku i życia, i ruszyła w stronę szatni. Chwilę wcześniej zobaczyła wchodzącego Abła. A może przez mgniecie sekundy, dzięki jakiejś telepatycznej iskrze, przeczuła jego zjawienie się. Trzeba go zaanektować, zanim nie zrobi tego kto inny, raczej stwierdziła, niż pomyślała.

Ich romans trwał już kilka lat, choć mało kto o nim wiedział. Bo tak naprawdę nikogo to nie obchodziło. Widywali się rzadko, od czasu do czasu chodzili do teatrów czy na koncerty, sporadycznie do łóżka; wyjeżdżali razem na krótkie wypady na wieś do chaty Sonki i ciągle coś planowali we dwójkę – a to parodniowy pobyt w Krakowie, a to w Wilnie, a to w Kazimierzu. Ale na pomysłach się kończyło, właściwie nie bardzo wiadomo dlaczego. Abel miał swój dom, a w nim pustkę, choć w tym domu mieszkali z nim „i ciotunia, i domowi”. Sonka była typową singielką i z tego powodu czuła się z każdym rokiem lepiej. Ceniła swoją niezależność, za którą zapłaciła kiedyś wysoką cenę – przede wszystkim wskutek związków z niewłaściwymi partnerami. Teraz broniła jej jak niepodległości i o żadnych zmianach nie myślała. Po co? Tak jest dobrze i tak ma zostać.

Sonka miała swoje lata, a więc i nabyty z wiekiem rozum. Abel, dużo od niej młodszy, potrafił być czarującym kompanem na wieczór – spektakl czy intymną kolację z muzyką – na

długie telefoniczne rozmowy, wymianę myśli o przeczytanych lekturach, wspólne milczenie przy kominku. Ich sporadyczne spotkania sprawiały, że wciąż chcieli się widywać, spragnieni siebie, tęskniący do rozmowy o życiu dookoła nich. Mówili o wszystkim z wyjątkiem polityki. Na to szkoda im było czasu, energii, uciekającego za szybko życia. Okazało się, że oboje równie gorąco kochają język rosyjski i wiersze w nim napisane. Abel nawet próbował niektórych autorów tłumaczyć. Nie do druku, nie, bardziej na własne potrzeby. Troszczyli się wzajem o siebie. O swoje katar, nadciśnienia, listopadowe depresje. Umieali się obdarowywać uśmiechami; on gdzieś z Polski przysyłał jej wierszowane papierowe kartki, ona – choć tego nie cierpiała – przesyłała w ememesach jakieś ważne w danej chwili zdjęcia, pisała esemesy, bez wierszy, ale za to pełne niespodziewanych wyznań. Mimo upływających lat zachowali dla siebie tę samą czułość, sporo tkliwości i głębokie przekonanie, że jest im ze sobą po prostu dobrze. W tych rzadkich chwilach bywania razem. To dużo. Oboje o tym doskonale wiedzieli.

Teraz spotykali się przypadkowo. Do teatru przyjechała sama, nie wspomniała nawet Ablowi, że tu będzie. W ostatniej chwili zdecydowała, że tu przyjdzie, choć wiedziała, że zobaczy kolejnego gniot: reżyser z rodzaju „młody zdolny”, podobnie jak autor, który zgotował wieczór, mieszając Szekspira z własnymi rojeniami o erotyce, kopulowaniu inaczej, a wszystko zamiast w podateńskim lesie – na praskich, brudnych i przerażająco beznadziejnych podwórkach z okolic Brzeskiej. Na dzień dobry witał widzów kompletnie goły, ustrojony jedynie w maskę osła aktor. Okazało się, że to też troll, inny przyjaciel Prezesa. Żałosny. Pod każdym względem.

– Jakie te trolle są głupie – powtórzyła na przywitanie Sonka. Abel słuchał z pewnym roztargnieniem. – Śniłam, że osioł był moim kochankiem – zacytowała ze śmiechem znane wyznanie Tytanii. – Ale nie w wydaniu trolli. Może wyjdziemy, gdy zadzwonią na drugą połowę? Pamiętasz, Witold powiedział, że prawdziwy teatr zszedł do podziemia. A to jest przybytek serialowych aktorów, szkoda czasu...

– Trochę się spóźniłem, a kilkoro z tej młodzi mam w następnym spektaklu. Powinienem zostać – odparł szybko Abel.

Od lat pracował w telewizji; był wziętym operatorem, teraz – realizatorem wizji i reżyserem, o współpracę z nim reżyserzy zabiegali od dawna. Kiedyś, przed wieloma laty, skończył łódzką łmówkę, zrealizował kilka ciekawych dokumentów, potem zajął się fabułą; nagrodzono go nawet na Camerimage jeszcze w czasach przedłódzkich. Poznał wtedy wielkich współczesnego kina, m.in. Davida Lyncha i Vittoria Storara. Miał wówczas ogromne plany, chciał realizować wysokonakładowe widowiska z masą aktorów, kostiumów. Mieszkał przez jakiś czas w Los Angeles, ale Hollywood go znudziło; po paru nijakich łmach dla 20th Century Fox, thrillerach klasy B, nic nikomu nie mówiąc, spakował manatki i wrócił do Polski. Czekał potem na łmowe propozycje, napisał dwa scenariusze, które utonęły w czyichś biurkach. Propozycje nie nadchodziły jednak...

Trzeba było realistycznie ocenić sytuację i dokonać wyboru. Abel zaangażował się więc jako reżyser wizji w siermiężnej wciąż Telewizji Polskiej i utknął w niej chyba na zawsze. Był, najłagodniej mówiąc, sporym dziwakiem. Zdolnym, ale nie przebojowym. Przynajmniej tak oceniali go jego koledzy aktorzy, a zwłaszcza aktorki: ceniły jego fachowość, perfekcyjne

poznanie tajemnic światła, dzięki czemu z każdej twarzy, przedmiotu, pejzażu umiał wydobyć jakiś charakterystyczny szczegół, który stawał się znakiem mrowym, znakiem niemal każdego zrealizowanego spektaklu. Lubił swoją pracę, poświęcał jej wiele czasu, uwagi, serca. A potem, nic nikomu nie mówiąc, zdał egzamin eksternistyczny z reżyserii i od czasu do czasu mógł już samodzielnie realizować inscenizacje nie tylko w Teatrze Telewizji.

Sonka zrozumiała, że Abel będzie oglądać do końca ten sceniczny gniot udający Szekspira, genialnego syna rękawicznika ze Stratfordu, tu spłaszczony, wyprany z dowcipu, mądrości, lekkości i poezji. Postanowiła zatem wyjść sama, wrócić czym prędzej do domu, napalić w kominku i usiąść z kieliszkiem wina przed palącymi się polanami. Zdecydowanie wolała swoje towarzystwo niż kiczowaty spektakl. Wymienili więc nic nieznaczące pożegnania w szatni i kobieta wyszła.

Na parkingu trzeba było omieść śnieg, którego znów sporo napadało.

– Co za cholerna zima. A przecież to dopiero styczeń. Ile tu tego? – wykrzyczała z nutą pretensji w głosie nie wiadomo do kogo. A potem, jak to zwykle przy okazji śniegu wokół, głośno powiedziała: – Zawiało cię śniegiem, ojczyzno. To ze *Strachów*. Że też takie głupoty włożą do głowy. U mnie, jak widać, na zawsze.

Uśmiechnęła się i rozbawiona wsiadła do samochodu. Włączyła stacyjkę, światła, dmuchawę i ruszyła. Miasto, przynajmniej w centrum, zostało posprzątane. Ale dalej – lepiej nie mówić...

Mieszkała na dalekim Mokotowie, w kameralnym osiedlu zbudowanym w latach siedemdziesiątych przez organizację

dziennikarzy. Ktoś ze znajomych pomógł jej w dostaniu się na listę członków spółdzielni, co wówczas nie było proste. Ale udało się i Sonka została właścicielką trzypokojowego mieszkania o astronomicznej powierzchni osiemdziesięciu metrów kwadratowych, a to w latach „środkowego” Gierka nie było normą. I to nie z wielkiej płyty, jak cała ówczesna mieszkaniówka, ale z najprawdziwszej cegły, o dobrze rozplanowanych, wygodnych, a po jakimś czasie oswojonych pokojach. W piętrowych domkach gnieździły się na ogół cztery rodziny. Ona – Sonka – miała za sąsiadów zaledwie dwie, mieszkańcy parteru zaanektowali bowiem cały dół; na piętrze poza nią mieszkało emerytowane małżeństwo dawnych papowców – ludzie spokojni, cisi, niewadzący nikomu; przez lata sąsiedztwa zżyła się z nimi, stale po coś – albo i bez powodu – wpadali do siebie, świadczyli sobie normalne w takiej sytuacji usługi; Jola, pani parterowego domostwa, miała ołaj na punkcie ogrodu. I trzeba przyznać, że stanowił on chlubę całego osiedla: był wypieszczonym i wysmakowanym dziełem sztuki ogrodniczej. Wszystkie zresztą ogródki rywalizowały latem o kwiatową palmę pierwszeństwa, jesienią złociły się lub czerwieniły płużaki wędrujące coraz dalej, niemal do płotu. Z każdym rokiem ogrody, zwłaszcza na swych obrzeżach, coraz bardziej zarastały, przybywało dzikiego wina i innych pnączy na płotach otaczających posesję, nic już nie pachniało nowością, co w pierwszym okresie tak irytowało Sonkę.

Wrastała w ten dom, w te ogródki, w swoich sąsiadów, ich małe radości i zmartwienia; ze zdziwieniem patrzyła na – nie wiadomo kiedy dorosłe – wczorajsze dzieci, na nagłe wypadki śmierci po sąsiedzku, rejestrowała – rzadkie co prawda – zmiany lokatorów i nie rozumiała ich sensu. Ona sama, po

latach wędrówek i dość częstej zmiany adresów, co kiedyś lubiła, czuła się tu dobrze zakotwiczona, była wreszcie u siebie. Ceniła fakt, że wokół niej jest cicho, spokojnie, bezpiecznie. Starzała się ona i jej małe osiedle, ogródki i ich właściciele. Starzał się także nieodległy mur okalający służewieckie tory, mur coraz nędzniejszy, coraz brudniejszy, pokrywany bazgrołami grafiarzy. Czyli wszystko odbywało się w zgodzie z prawami natury.

Zamieszkała tu ze swoim ostatnim partnerem, ale ten niespodziewanie dla wszystkich zawiął się z tego świata i Sonka została nareszcie sama.

Wjechała do garażowego boksu, zamknęła drzwi i po przejściu paru schodków znalazła się przed swoim wejściem. Szukając kluczy, natrafiła na komórkę.

– Zapomniałam ją włączyć. Ktoś dzwonił – powiedziała do siebie. – Czy ja nie za dużo ze sobą rozmawiam? Czy nie za bardzo monologuję? – rzuciła w próżnię kolejne czysto retoryczne pytanie. I sama natychmiast odpowiedziała wzruszeniem ramion.

Zapaliła światła w całym domu, zrzuciła futro, buty i przeszła do dużego pokoju. Zaciągnęła zasłony, usiadła w fotelu i wcisnęła odpowiedni przycisk w komórce.

– O, telefonowała Antoninka – stwierdziła. A po chwili już rozmawiała:

– Tak, dziecko. Byłam w teatrze, ale po pierwszej części uciekłam. Może wpadniesz? Co prawda mam tylko sałatę i sery, ale ty i tak się odchudzasz. W takim razie czekam. Pa, pa...

Antoninka była jej drugim, bardzo kochanym dzieckiem. Pojawiła się w Warszawie na dobre – po okresach mieszkania

wśród obcych – przed kilkoma laty, po długim pobycie w Indiach. Podróżowała z przyjaciółką po tym odległym fascynującym kraju, medytowała, milczała; mieszkała w aśramach, taniutkich hostelach, bursach; trochę pracowała, trochę pomagała joginom, ale przede wszystkim uczyła się napotkanej, każdego dnia innej, sztuki pogodnego życia, umiejętności krzesania w sobie zgody na życie w każdej z jego form; rozmawiała z sikhami i niedotykalnymi; zafascynowana obserwowała ulicznych dentystów, czyścicieli uszu i fryzjerów; ze stężoną twarzą i zastygającymi w całym ciele nerwami przyglądała się płonącym nad Gangesem kremacyjnym stosom przysyłanym przez kłęby wszechobecnego słodko-mdłego odoru, podziwiała s lcowane kołtuny na głowach świętych mędrców zatopionych w modlitwie nad świętą rzeką; dużo podróżując, poznawała hinduską codzienność; zauroczona odkrywaniem nieznanym światem, chłonęła jego kontrasty: nędzę i niewyobrażalne bogactwo, niebywale wysoki poziom nauki z jednoczesnym powszechnym niemal analfabetyzmem, codzienne współistnienie bollywoodzkiego kiczu ze sztuką najwyższej próby, okrucieństwa – z tkliwymi odcieniami łagodności. Zachwycał ją fakt, że tu nikt, w żadnym wypadku, nie ulegał demonowi pośpiechu. Spokój i swoiste dostojęstwo cechowały każdego ze spotkanych obywateli. Nie dotarła tu nasza kultura pośpiechu... Antoninka umiała godzinami opowiadać o dziwnych hinduskich światach.

Podobną fascynację Indiami znalazła Sonka po latach w znakomitych reportażowych książkach Krzysztofa Mrozwicza.

Ze swoją starszą córką Anną Sonka nie potrafiła nawiązać bliskiego, czułego kontaktu. Anna od swoich czasów

uniwersyteckich mieszkała za granicą; ściągnął ją do Paryża ojciec Sonki. Potem, po jego śmierci, Anna przeniosła się za ocean i utonęła gdzieś w amerykańskich morzach. Do Warszawy przyjeżdżała rzadko, okazjonalnie. Po tygodniu, dwóch wracała znudzona. Była zamknięta, chłodna, by nie powiedzieć zimna. I Sonka mimo woli odpłacała jej podobnymi uczuciami. Choć dalibóg próbowała wszystkiego, aby te lody przełamywać.

Z Antoninką sprawa miała się zgoła inaczej. W jej charakterze leżała otwartość. A za tym szła wewnętrzna pogoda, jakieś słoneczne rozmigotanie objawiające się w uśmiechu, który nie znikał z jej twarzy. Śmiały się jej oczy – ołkowo-sza rowe, promienne, a także dołeczki w policzkach, gęsta wiecha włosów, których kolor lubiła zmieniać. Na ciężkie depresje Sonki wszystko to działało zbawiennie. Dlatego jakże często mówiła o niej: „Moja terapeutka najskuteczniejsza!”.

Sonka usłyszała odgłos przekręcane go klucza.

– To Antoninka. Dobrze, mam już całą kolację, tylko wino trzeba otworzyć i rozpalić kominek – perorowała sama ze sobą, aż przerwała jej stającą w drzwiach prowadzących z korytarza do dużego pokoju wysoka dziewczyna.

– Z kim rozmawiasz? – zapytała.

– Jak zwykle sama ze sobą; to jedyna gwarancja odpowiedniego intelektualnie poziomu życia. Siadaj.

Zająły miejsca w wygodnych fotelach przy okrągłym stole. Sonka nalała wino, ogień trzaskał wesoło. Potoczyła się nieśpieszna rozmowa.

– Chciałam cię zobaczyć. Za trochę więcej niż tydzień jadę do Rzymu. Jak pamiętasz, zaprosiła mnie nasza cudowna

professoressa. Jestem jej za ten gest niezmiernie wdzięczna. We Włoszech już primavera, a u nas śnieg, mróz i nadal ciemno. Wiosna gdzieś za siedmioma górami. Cieszę się na ten wyjazd – powiedziała jakby do siebie Sonka. – A po powrocie tylko przepakuję walizki i – jak zwykle w marcu – na kąpiele, gimnastykę i sto innych zabiegów do Buska, czyli Kaczego Zdroju, więc się pewnie nie zobaczymy...

Zaległa nagle cisza, tylko kukułka w kuchni zaczęła swoim pośpiesznym, zadyszczanym skrzekiem kukać okrągłą godzinę. Sonka naliczyła dziesięć wrzasków. Za chwilę swym srebrnym dźwiękiem godzinę obwieścił stojący zegar szafkowy, a później dołączyły inne, które Sonka co jakiś czas kupowała. Polowała jeszcze na mebel wygrywający kuranty, ale szło to dość opornie: w swych poszukiwaniach nie znalazła takiego okazu, który by ją urzekł od pierwszego spojrzenia. Zamiast starego mebla z kurantem pojawiały się więc inne chronometry sprzed lat. Wszystkie chodziły, dzwoniły, biły – słowem żyły. O ich zdrowie troszczył się pan Klemens, znakomity zegarmistrz z Białołęki, który na pełne popłochu telefony Sonki o niedomaganiach któregoś z egzemplarzy pakował swoją podręczną walizeczkę, wsiadał do samochodu i przyjeżdżał. I choć robił, co mógł, każdy z zegarów Sonki chodził po jego wizycie, jak chciał. I tak samo dzwonił czy bił.

– Wariactwo – śmiejącymi się oczami skwitowała ten zegarowy harmider Antoninka. – Na wyjazd zatrzymasz je?

– Oczywiście. Poza dużym. Musisz w sobotę wpaść i nakręcić, jak zwykle. Wiesz, ilekroć przysłuchuję się swoim zegarom, a zwłaszcza kukułce, przypomina mi się cudowna scena z *Pozegnania z Afryką* Sidneya Pollacka: przed zegarem z kukułką, o pełnej godzinie, zbierają się masajskie dzieci, aby

popatrzeć na magiczny, zaklęty przedmiot, z którego wyskakuje kukający ptaszek...

Zapanowała cisza. Sonka jakby zbierała się w sobie. Wreszcie przemogła się i zaczęła:

– Muszę ci coś opowiedzieć. Zachowaj tę historię dla siebie, nikomu jej nie powtarzaj. Jest dla mnie bardzo przykra, nie chcę, aby kiedykolwiek wyciekła. Ale muszę to z siebie wyrzucić, w przeciwnym razie zwariuję. I tak żyję z tym już dobrych kilka lat. Dłużej nie mogę. W jakiś sposób obciążam cię swoimi przeżyciami, za co przepraszam. Nie potrafię sobie z tym wszystkim poradzić. Może tobie przyjdzie coś mądrego do głowy. Sprawa dotyczy mojego ostatniego małżeństwa, które wszyscy uważali za niezwykle udane i szczęśliwe. Rzeczywistość, jak się później okazało, była daleka od tej prawdy. Ale doszłam do tego parę lat po śmierci Joachima.

– Właśnie zauważyłam, że z domu poznikały wszystkie jego zdjęcia. Nie pytałam, bo znając cię, wiedziałam, że sama mi to kiedyś wyjaśnisz – wtrąciła dziewczyna, jakby dając Sonce czas na ostateczną decyzję.

– Pobraliśmy się na początku lat siedemdziesiątych, wielka amura, spora namiętność, jakieś kolejne moje zaczadzenie... Przed samym ślubem wyznał mi coś dziwnego: pracuję dla kontrwywiadu. Spojrzałam na niego zdumiona, ale dość szybko swoje zdziwienie zamieniłam w żart: Będę miała tylko mojego Klossa! I cześć! – Głos Sonki zrobił się weselszy, nie tak śmiertelnie serio. – Na tym sprawa dziwnego wyznania została przeze mnie zakończona. Nigdy do tego nie wracałam, po prostu zapomniałam, wyrzuciłam z pamięci jako zbędny balast. A potem?... W naszym związku jak w milionach innych

namiętność z latami wygasła, dawna miłość nie zamieniła się ani w przyjaźń, ani we wspólne starzenie się, coraz częściej miewaliśmy boki, żyliśmy obok siebie; miał mi za złe nawet moją pracę, wyjazdy do teatrów, spotkania zawodowe; coraz bardziej byliśmy wobec siebie obojętni, znudzeni sobą, a potem – niemal wroddy.

Aż nagle on umarł i wtedy zaczął się znacznie lepszy okres mojego życia. Miałam czas dla siebie, sama decydowałam, co będę robić, gdzie będę pracować, z kim. Nie musiałam odpowiadać na ciągłe pytania: „Znowu wyjeżdżasz!... Na długo?!...”. Nie musiałam się tłumaczyć, po prostu byłam niezależna. Nagle posypało się dużo propozycji, zaczęłam znów jeździć po mniejszych teatrach, poznawałam nowych ludzi, żyłam w spokoju, a kiedy chciałam – w błogiej samotności, w szczęściu. Niezbyt jednak długo. Pamiętasz, jak nie tak dawno wybuchła afera z listą Wildsteina? To było już po twoim powrocie. Krążyła po internecie, wzbudzając ekscytację, lawinę domysłów i podejrzeń, chore skojarzenia, a w tysiącach Bogu ducha winnych ludziach – niepokój, że nie będą się mogli wytłumaczyć z powiązań z ubecją. Jak dowieść, że się nie jest wielbłądem? Sytuacja po prostu kłoczna!

Dotknęło to także mnie. Ktoś ze znajomych powiedział mi, że na tej liście guruje nazwisko Sebastiana Gasztołda, mojego ojca. Nie chodziło o szeregowego Polaka, Jana Kowalskiego. Zainteresowało mnie to. Poprosiłam kogoś o sprawdzenie. Sama nie chciałam babrać się w ćwierć milionie nazwisk, wśród których mogłam odnaleźć i siebie... Uważałam całą sprawę za haniebną... I rzeczywiście: Sebastian Gasztołd – jedyny o tym imieniu i nazwisku francuski (przecież)

obywatel – został wymieniony jako Tajny Współpracownik...

Sonka przerwała. Zaległa długa cisza – kobieta jakby mowiała się ze sobą, zastanawiała się, jak przedstawić dziewczynie to, co nastąpiło później. Antoninka wyczuwała to doskonale i nie pośpieszała Sonki pytaniami; wiedziała, że to nie jest koniec opowieści, bo do jej nału pozostało jeszcze kilka ważnych wyjaśnień... Po to przecież zaczął się ten długi monolog. Poza tym z każdą chwilą głębiej rozumiała znaczenie całej tej historii dla opowiadającej ją kobiety: jej tragizm i zwiększające się niemal z każdą minutą napięcie...

– Napisałam do IPN-u list – podjęła przerwana relację Sonka – aby mi pozwolono zajrzeć do teczek ojca. Podałam jego najważniejsze dane, żeby nie zaistniała pomyłka, o którego Sebastiana Gasztołda chodzi. Wysłałam i czekałam. Odpowiedź przyszła po jakichś siedmiu, ośmiu miesiącach. Wyznaczono mi termin, kiedy i do kogo mogę przyjść, aby zapoznać się z interesującymi mnie dokumentami.

I stało się. Przez wiele miesięcy zastanawiałam się, czy rzeczywiście powinnam tę teczkę oglądać, czy lepiej machnąć ręką. Wiedziałam, że ojciec nie współpracował z ubecją, nie donosił na nikogo, nie był łajdakiem. Powojenny paryżanin, elegancki i wzięty architekt, majątny człowiek nie miał przecież cienia okazji, by zetknąć się z UB czy SB... A poza tym to nie w jego stylu. Z tą wewnętrzną prawością, z idealistyczną wiarą w powszechne dobro? To jakiś inny pan Gasztołd o cudownym imieniu Sebastian próbował właśnie – bez skutku – zburzyć mi taki wizerunek ojca. Po co więc umówiłam się z panią z IPN-u, która zaprosiła mnie na spotkanie? Aby ostatecznie przekonać samą siebie, że się nie myliłam.

Sonka znów przerwała. Tym razem jednak cisza trwała znacznie krócej.

– No i poszłam. Do dziś przeklinam tamtą decyzję sprzed lat... – Powiedziała to zdanie jakoś twardo, z pewnym okrucieństwem, nie wiadomo do kogo adresowanym. – Teczka była dość gruba. Chwilę siedziałam nad jej wytartymi – jak mi się zdawało – brudnymi brzegami, wreszcie zdecydowanym ruchem otworzyłam, przekładając chyba połowę jej zawartości na lewą stronę. Przed sobą miałam regularny donos podpisany ksywą Nemrod. Donos na moją matkę, Tamarę Gasztołd... Ten Nemrod rozdzwonił się nagle w głowie tysiącem dzwoneczków. Wcześniej moja podświadomość tak samo zareagowała na charakter pisma. Znałam je doskonale. Mam takie same listy w szu adzie! Nie, to niemożliwe! To jakiś straszny, niewyobrażalny matriks! – powtarzałam głośno. Boże, za co mnie każesz? Co komu złego zrobiłam, aby doczekać takiego łajdactwa?... Ale może to zwykłe oszustwo?! Może misty kacja? Jednak następne donosy – wszystkie raporty opisujące spotkania, rozmowy, telefony – przekonały mnie, że pisała je ta sama ręka. Ręka mojego męża Joachima. Rozumiesz?! Ożenił się ze mną, żył ze mną i jednocześnie donosił na mojego ojca, matkę, na mnie, na-szych znajomych. Ilu niewinnych ludzi, w Warszawie i w Paryżu, skazałam na kontakt z tym potworem? Na ilu doniósł, ilu skrzywdził... Kanalia... Szpicel... Dzwonki w mojej głowie potęgowały się ze straszną mocą. Zobaczyłam scenę sprzed lat: zima, wieczór, duża kuchnia naszego ostatniego z mamą mieszkania. I on w wielkim kożuchu, obwieszony bodaj dziesiątką zajęcy. I moja mama kwitująca ten dość zabawny widok słowami: „Oto i nasz Nemrod”... A wcześniej jęgo

słowa, które potraktowałam jak zabawę w Klossa... Boże, co za idiotka!...

Sonka skończyła, a Antoninka siedziała jak zamurowana, nie wierząc w to, co usłyszała.

– To niemożliwe – wydukała. – Jesteś pewna, że to jego charakter pisma? Że Nemrod to Joachim? – I nagle, kiedy dotarła do niej istota opowieści Soni, jej sens, zareagowała gromkim przekleństwem: – To chuj! – Po czym, znając awersję Sonki do plugawego języka, powiedziała cicho: – Przepraszam, ale na nic lepszego ten pan nie zasługuje. *Fuck* – zmešla w zębach przekleństwo. – Teraz rozumiem historię ze zdjęciami. Było ich przecież sporo.

– Tak – niemal machinalnie odpowiedziała kobieta. – Zrobiłam to automatycznie, instynktownie, po powrocie z IPN-u. Zdjęcia w ramach unicestwiałam z nieznaną mi wcześniej zawziętością, z albumów powycinałam tę twarz, tę postać, nawet jej cień. To wtedy ładne kiedyś miłosne listy zamieniły się w kupę strzępków, spalonych następnie na blasze w kuchni. Dzieło wymazywania jego zycznej obecności w moim życiu skończyłam późną nocą. To był pierwszy etap usuwania go z mojej świadomości, pamięci. Powiedziałam sobie: nic mnie z tą kreaturą nie łączyło, nie było wspólnych piętnastu lat – ani miłości kiedyś, ani niechęci później. On po prostu nie istniał. Nie istniał...

– Wiesz – Antoninka powstrzymała krążące nie wiadomo gdzie myśli obu kobiet – zawsze wydawało mi się, że sytuacja znana z rodziny wybitnego historyka jest przykładem jednostkowym, resztę im podobnych zrodziły wyłącznie film czy literatura. Na twoim przykładzie raz jeszcze widać, że nie. Że „życie przerosło kabaret”, aby zacytować klasyka. Tylko że

temu wszystkiemu daleko do kabaretu, to wcale nie jest, kurwa, śmieszne... Ale czy to prawda? – Dziewczyna znów zaczęła wątpić. – Przecież w ostatnich latach co chwilę wyływały jakieś głośne sprawy. A to Wałęsa, a to Kwaśniewski, a to Pas-sent z Kuśniewiczem, a to Drawicz, ostatnio Dziejdzic, ale to przecież nie znaczy, że nie były one wywoływane dla potrzeb chwili, dla doraźnych celów...

– Nie wiem – przerwała jej Sonka. – Widziałam tę teczkę. Tę jedyną, rozumiesz? Przystudiowałam jej zawartość. I za-pewniam cię, że nie powstawała ona, jak mówisz, na zamó-wienie współczesności. Joachim istniał, żył, ale był nikim.

– No dobrze – Antoninka wracała do swoich wątpliwości – a jak było z twoim paszportem? Wielokrotnie jeździłaś przecież do ojca? Ile razy ci odmówiono?

– Raptem dwa, może trzy razy, i to jeszcze za czasów Gomułki, a kiedy wyszłam za mąż, już nigdy. Nigdy też nie wiązałam tego z Joachimem. Byliśmy razem od siedemdziesiątego drugiego; wcześniej wyjeżdżałam kilkanaście razy na Zachód. Dostawałam od ojca pieniądze, o cjalnie je wymie-niałam...

Siedziały w milczeniu. Każda na swój sposób przeżywała tamte zdarzenia: Sonka po raz setny zapewne, Antoninka po raz pierwszy z jednym pytaniem, które miała wymalowane na twarzy, w oczach, w całej sylwetce: Jak to możliwe, by przez tyle lat oszukiwać najbliższą osobę? I nie wpaść? Nie zdradzić się?

Zadzwonił telefon. Obie kobiety za jego sprawą powróciły z daleka.

Sonka odebrała.

– To Abel – poinformowała krótko.

Przyznawał jej rację, że ten spreparowany według dzisiejszych mód Szekspir to wyjątkowa tandeta, do tego fatalnie zagrana, jedynie osamotniony Jan Frycz próbował ocalić coś wartościowego. Z niewielkim zresztą skutkiem.

– Czy zobaczymy się jutro? – spytał na zakończenie.

– Dobrze, zadzwonię. Potwierdzimy godzinę. Całuję mocno – dodała z czułością.

– No dobrze – Antoninka wróciła do przerwanej rozmowy. – Ale co znalazłaś na temat ojca, którego Wildstein na swojej liście umieścił jako TW.

– Nic poza raportami Nemroda. To już nie było ważne: czy donoszono na Sebastiana G., czy to Sebastian Gasztołd pisał donosy. Tak przecież była skonstruowana ta lista. Nie chodziło w niej ani o prawdę, ani o wiarygodność. Kolejna ściema, jak dziś mówicie.

Odetchnęła głęboko, obiegła nieobecny wzrokiem zaokienną ciemność, dogasający kominek, ciszę, która zaległa między nią i młodą kobietą... I nagle uświadomiła sobie, że dzięki całej tej dzisiejszej, od dawna odkładanej rozmowie z Antoninką, ale też dzięki uczuciu, jakim darzyła Abła, tamta sprawa sprzed lat stała się dla niej mniej bolesna; nagle odeszło gdzieś to ciągle klucie w sercu, kiedy tylko wracała do swego „domowego Klossa”, do rodziców przez nią zanurzonych w niewyobrażalnym ludzkim szambie, do brudnej teczki w IPN-ie. Nie żeby nagle wszystko to przestało istnieć, bo przecież tak się nigdy nie stanie, do końca jej dni, jednak z pełnym przekonaniem stwierdziła, że ciężar łajdactwa i brudu, jaki do dziś samotnie dźwigała, wyraźnie się zmniejszył. Egoistycznie podzieliła się nim z najbliższą jej osobą, nie wiedząc, jaki będzie tego efekt. A i świadomość,

że istnieje Abel (choć przecież on nie usłyszy jej opowieści),
dawała jej niesłuchaną, nieznaną dotychczas siłę. Znow usły-
szała rozumiany wyłącznie przez nią mocny wewnętrzny głos:
Poradzę sobie! Muszę!

Absurdy naszej rzeczywistości – złośliwość losu, chichot historii i triumf bezgranicznej głupoty – w krzywym (a może szczerym aż do bólu) zwierciadle opowieści pełnej czarnego humoru, dystansu, ironii i autoironii, zadziwionych przemyśleń i serdecznego frasunku.



KIRA GAŁCZYŃSKA

Znakomita biografistka – córka Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego i Srebrnej Natalii, autorka książek o nich – tym razem zadziwi czytelników swą pierwszą powieścią z kluczem.

Szyfr nie jest prosty, skoro nawet mówiąc o osobach, które można rozpoznać, Autorka zapewnia, że nic nie jest tak, jak się wydaje. Jest zupełnie inaczej...

Tę historię można by nazwać historią jednego prawdziwego upadku. I niejednego upadku... kultury, języka, czytelnictwa, etyki zawodowej, obyczajów.

Kto jest kim w tej opowieści? Czy to ważne?

Z pewnością piękna miłość – jest piękną miłością. Daje siłę.

Również (czy raczej szczególnie) w dojrzałym wieku.

PATRONAT MEDIALNY

www.marginesy.com.pl

BOOKLIPS.PL IIIII



9 788363 656805

cena 39,90 zł